

Widma



TADEUSZ GAJCY

Widma

POEMAT

I
Czy znasz ten kraj pod soplami szerniałych gorących gromnic
skrzypiący dawniej żywicą — dzisiaj błonami skrzydeł
nietoperzy ogromnych.
Czy znasz ten kraj,
gdzie ścieżkami westchnień
płyną nieżywe
kwiaty zwęglone i kości zwierząt łąkowych i leśnych.

Ojczyzna, Śmierć

Gdzie płaski wypasał krajobraz
stulone uśmiechy wiosen
i kwitły długo przy ustach łąki łagodne jak flety —
schodzą do jezior z siarki
i węgla lasy brzoźowe.
Stanął w martwym powietrzu głosy psalmistów letnich,
kiedy czerwony tulipan ze strzechy wyrósł drzemnącej
i ronił płatki gorące.

Ogień

Miasta pogięte jak muszle na czarnoziemnych wybrzeżach,
w których się echo strzępiaste wylewa pod strumień wiatru —
oto latarnie uliczne w ślimaki skręcone leżą
i wieże cieką ku ziemi w ceglasy zimny stalaktyt.
Marszczy się skóra globu, lasami zapada i pęka,
w szczelinach grzmoty podziemne niebo kaleczą niskie,
ziewają krwiste zachody przy ziemi rozwartym pyskiem
i czarne słońce zmalowało do kształtu serca człowieka.

Ryby na rzekach z fioletu wypływają brzuchami do góry,
jawią się niebom obcym geometryczne stygmaty,
a to zapowiedź złowieszczą,
bo u serca dzwonów wiszą już nietoperze
i znaki z morowego powietrza
jak obłoki wędrują nad światem.

Ptaki nieznane nikomu po długich roślinach świstu
spadają w dłonie łun
jak w sieci listków.
Jabłko ziemi błędzące w zdwojonych mocnych obrotach
o obręcz blasku ociera sypką sosnową sierść.
Rwie się niebieski bulgot
i pustkę złą ustokrotnia,
pustkę o wnętrzu płomienia.

W płomieniu wklęsłym i szklanym mówią — śmierć.

Przymknięte są oczy pożarów, spod których lży jak katedry —
lży wyściełane wrzosami miękkie i dziwnie ciche —
a są to farby żałobne rozłożone w skrzydłach motyli,
a są to dźwięki bolesnej muzyki.

Pada śmiertelny deszcz z gromnic wysokich,
bezpańskie zwierzęta straszą między nocą a dniem,
ślepną źrenice ludzi pod cięciem puchowej lotki
ptaków niebieskich przemienionych w złe.

A domy łamią się lekko, domy, w których zamieszkał człowiek,
naszeptujący do kopców cmentarnych u granic.
Ludzie o twarzach z wosku i oczach łagodnej łani
czekają na gałązkę oliwną, a może
na gałązkę zwykłego śpiewu.

Dom

Skłębiona puchnie darrń,
skwierczą rozwiane knoty gromnic,
noce wtulone w skrzydła nietoperzy ogromnych
kołyszą kraj.

Ten kraj.

2. Pieśń mimowolna

Właśnie mnie ciemność wydała nogom, u których po pięć
palców wężących boleśnie. Jednym podstępny ułuciem
usta rozdarła i mózg mój w białe zmieniła skiby,
w których się noc przewala zębata, ściśnięta jak pięść.

Noc

A zanim gołąb mnie odbiegł i gałąź wydarli mi ludzie
z dłoni szerokiej jak taca, abym pozostał szczęśliwy
wśród nich —
tłący na cienkiej lodydze jak lilipuci instrument
urzekł mnie ptasi skrzyp.

Nigdy nie było łaskawiej. Mąciłem spokój rzeczy
ciałem czystym jak kreda, głowę dźwigałem jak kościół,
odlot drzew żegnałem co dzień nadrzeczny,
liczyłem wypłuski ryb
na piasku ciężkim od ości.

Dzwony chłodziły mi szyję weselne albo żałobne,
a od tego dzwonienia las z wosku na ołtarzach
w lusterkach trzymany przez świętych nad głową
może dla mnie powtarzał,
może dla cienia mego, który był
w fałdach mej skóry białej,
że powalony w własnych krzakach żył
zrzucę swe ciało.

Cóż, potem niebo mi obce
błyskając krawędzią gromu
zeszło po listku, na którym haft —
I wzywałem donośnym głosem,
obok szatan o rogach złoconych:
Ach, zatrzymaj mi, ach, zatrzymaj bieg niebieskich lat!

Diabeł, Młodość

Przyływ księżycą prowadził.
Wciąż na wieżach ludzie w wieczór
żałosnymi językami odczytywali gwiazdy, a gniew
palił im włosy w nieładzie,
bo powietrze gorące od przeczuc
tuliło się małe do pięt.

Sen mój był żółty i straszyl
twarzą jak Tatar:

Przyszły

wielkie obłoki schylone nad ziemią pędzącą jak światło,
jak chrust płonęło żelazo i beton bojowych maszyn,
mosty skakały jak owce przez niebo wtopione w Wisłę,
wydęły kamienne dziewczyny usta spragnione pokarmu
i w dzbany parków jak mleko wlewał się ogień i marmur.

Na próżno człowiek z łbem sępa ręką zakwitał jak laurem;
schodziły w ziemię latarnie wciąż parszkające, za nimi
wróble z ponurym wyciem, gołębie z płaczem wprost ludzkim,
i było białe od planet i mroźno niczym od zimy.

Z gromnicy wysokiej jak sosna wyszedł z pętlącą na krtani
Traugutt¹ i wargą poruszał, gestem tłumaczyć chciał;
łamał się werbel pod krokiem, a on pełen cichego kochania
wzrokiem pytał: Czy znasz ten kraj...

Nagły jaszczur w smolistej lusce
wypadł z nory pod Męką Pańską
i zanucił dziecięciu jak listek
— a tym dzieckiem pewnie byłem ja —
o jeziorze, gdzie kąpał się w blasku,
pełnym siarki, fioletu i darni —
A wciąż noce wtulone w ogromne
skrzydła —
kołysały kraj.

Ten kraj.

Dalej... sen mnie z nóg zrzucił...
Wracałem, gdzie dym jak pies leżał
przed każdym wschodem księżycą.
— O mieście mówili, że wielkie, o wieży, że jest potężna.

Tam patrząc na lot jej zazdrośnie
znowu zacząłem swój głos
wysilać niby cięciwę — obok złocony szatan:
Ach, jeśli nie latom niebieskim — to pozwól mojej młodości,
aby przez ciało przebrnęła i twardą zębatą noc!

Wieczność siedząca za nami ziewała szczęką czerwoną,
mały anioł po sznurze schodził ku mojej pomocy,
po pięć palców u stopy ciągle boleśnie wężących
spoczęło wreszcie. Był dzień,
w którym przy mięsie ofiarnym Kain² ugodził brata,

¹Traugutt, Romuald (1826–1864) — polski generał, dyktator powstania styczniowego, stracony przez powieszenie w Cytadeli Warszawskiej. [przypis edytorski]

²Kain — pierworodny syn Adama i Ewy, zabił swojego brata Abela (Rdz 4,1–8). [przypis edytorski]

więc kipiał wełniasty step
w gwiazdach lecących na północ.

Wtedy ostrożnie mi zdjęto głowę, przykryto całunem
i gałąź wyrosła w mej ręce, a z nią boskości mej zapach.

3. Pieśń ostateczna

Strzaskałeś kroplami głuchymi jak młot
kuty w powietrzu sarkofag,
gdziem leżał w kwietnym puchu
czekający na nową noc,
kiedy twe ręce spoczną na chlebie i koszach.

Wielekroć gwiazdy stawały nad ciemną równiną,
mowa splątanych kopyt dudniła w łożach i wierzbach,
gdy śpiąca rzesza nad wodą wołała: głód!
Szalały krowy zdziczałe, o ciemność druzgocąc szyje,
wychodził z lasu pasiasty tygrys do ognisk i sprzątał
mięśnie do skoku. Chłód
budził leżących — ręce
wznosili po trzykroć i oczy,
wołali: przybądź! i trawą sypali żalobnie włosy,
i budowali z kamienia ołtarze polne naprędce.

Zwierzęta

Nie było kresu tym czasem. Tyś spał
głowę rzuciwszy na wiosło, gdy zaczął buntować się płomień,
woda i blade powietrze. Latały ciała żyjących,
kości ich cienkie i żółte, raczej podobne słomie.
Zatapiał dziaśła zsiniałe w pierś córki śmiejący się ojciec
i kapłan kryjomo z kielicha krew twą do ust suchych łań.

Już woda spijała ziemię, już wodę pochłaniał ogień
i ogień ginał w powietrzu — ja ciągle leżałem jak martwy,
czując na zimnych policzkach dotyk żywiołów trzech.
Wąż poparzony się przywłókl, ciałem bezsilnym mi nogi
okręcił...

Ufałem — oto zbudujesz mi arkę
i weźmiesz na nią zwierzęta, tylko zostawisz mój grzech.

Grzech

Potem mi ziarno przez ptaka
prześlesz — i włożę w doniczkę. —
Siedem ogromnych nocy i siedem ogromnych dni
będzie kielkować, aż wreszcie z nowego wyczytam zodiaku,
że wolna ziemia mnie czeka, spokojne żywioły wszystkie.

Nie było tak. Już sam jeden
leżałem i czułem me oczy
topiące się głębiej i głębiej w twarzy zlepionej z wosku;
dogasał ogień na studniach, woda walczyła z lewej,
a z prawej kapał bezdźwięcznie w łuk przechylony nieboskłon.

Próżnia zdławiła już dawno węża u moich nóg.
Twardniały w kamień korzenie mchów, tataraków i lilii,
w uszach mych pęd posępny warczał,
łagodnie spadała ziemia, księżyc się w tyle przechylił
i słońca leciała tarcza
czarna na pół.

Jeszcze wierzyłem: wyślesz łuk
tęczy, gdy zbudzić się zdołasz —
lecz tyś spał — a u wiosła niespokojny tłum
twoich aniołów.

Więc nadzieję żegnając, z warg zwałem szeptem,
który ogromnym wołaniem się rozległ i deptał
gwiazdy błędnie wiszące
nad kolumnadą kosmicznych bram:

Nie złamałeś mej mocy —
jestem sam!

4. Sen drugi

Biskup w ornacie tajemniczych szelestów pełnym
głośno śpiewał litanie i świecił aksamitnym obuwiem,
szły za nim ulubione dwie hieny
i świecące jak talerze dwa żółwie.

Chłopcy biegli za orszakiem tym,
jak za cygańskim wozem,
chcieli ujrzeć pierścien biskupi, gdzie płyn
cudowny — bo z krwi — bulgotał,
ale już kobiet pisk zmysłowy
odrzucił ich na stronę:
to Dionizos³ rwał grona na płotach.

Na rogatkach — tam fryzjer i rzeźnik
mówili o czasach zjawiających się im we śnie:
złe były — a przeżyje, kto wierzy,
kto nie wierzy — nie wypije i nie zje.

A wierzyła staruszka, której już wiele kanarków
w klatce zmarło. Ostatni miał ciężkie konanie,
modliła się nawet za tę duszę małą,
ale najczęściej składała ręce
miękkie jak włóczka i prosiła: Panie,
niech wnuk mój zostanie księdzem.

Ksiądz

I został. Panny w tiulach nad nim
niosły baldakim jak pierzyna pyszny,
aż z zazdrością patrzyła nieładną
młoda żona z ulicy najbliższej.

Wiele prawdy znał fryzjer i rzeźnik.
Do studenta alchemii, gdzie dzwonek
był nad drzwiami rzeźbiony jak szyszka,
przychodziły Erynie⁴ tlenione,
by na czole mu gorzko napisać:
Masz pamiętać, bo taki jest rozkaz
— w snach go czytał i fryzjer, i rzeźnik —
ten przeżyje na ziemi — kto wierzy,
kto nie wierzy — nie wypije i nie zje.

³*Dionizos* (mit. gr.) — bóg ekstazy religijnej, sił witalnych natury, wina. Związany z życiem pozagrobowym. Przedstawiany zazwyczaj jako dojrzały, brodaty mężczyzna, albo młodzieniec o długich włosach. [przypis edytorski]

⁴*Erynie* (mit. gr.) — boginie zemsty, karzące zwłaszcza przewiny wobec rodziny i rodu, przedstawiane ze skrzydłami i z węzami we włosach, doprowadzające do szału i dręczące tych, których ścigają. [przypis edytorski]

Pluskały karuzele, łodzie na długich linach,
mąciły śmiech — lecz w tym śmiechu
szatan umywał ręce, jeszcze wodę po nich przeklinał
i żałośnie płakał jak dziecko.

Poznał go biskup srogi i powieką obwisłą skinął,
pełen chręstu srebra i haftu przystanął przed nim jak wizją,
wzrok do nieba podniósł: Ukrzyżuj!
Wielkim głosem potrząsał jak grzywą.

Wypędzony więc z miasta jak z raj
wziął mnie mocno za przegub dłoni
i na górę wysoką zaniósł.

Kiedy mi z gliny lepił chleb
i daremnie skręcał bicze z piasku,
jak najsmutniej mi w oczy popatrzył
i palcami jak dzwonki u sań
wskazał nisko, i spytał: chłopaczkę,
czy znasz ten kraj?

Ten kraj?

— Tam stodoły chude, nocą wozu skrzyp
i Chrystusik kulawy przy szybie,
a za szybą już gromnice trzy
i milczenie żywe.

Tam wilgotny i płytki na dłoń
dół dla ciała rozgrzanego południem,
słońce nawet węż jak kłosa
i chleb trudny.

Jeszcze gorzej będzie, gdy żebra
stodół wyschną, wyparują studnie,
przyjdzie mór — przyjdą ludzie w złych hełmach...
A tu spójrz: chociaż góra bezludna,
są fontanny i zamki na lodzie,
kwiatów zagon, owoce kuliste
i jak tam — karuzele i łodzie,
i jak tam — szal, zabawa i gwizdy.

Wróg

Że nie ludzkie, to nic — tamci kiedyś przestaną
i niejeden się skusi... będzie różnie ci wówczas,
patrz — Erynia, ma córka, jak muzyka co rano
zbudzi łokiem grającym, ucałuje cię w usta.

Będziesz synem mym. Starość
ciężka dla mnie. Zły biskup,
który żółwie i hieny jak psy wodzi z orszakiem,
kazał odejść mi z miasta, gdzie ukryty się błyska
grom i wkrótce przeleci po żyjących i martwych.

Jakże rozeznasz wtedy mgły między nocą a dniem?
Tu tylko będzie wiadome — komu pozostać dane;
niemowlęta zrodzone potłucze popiół z marmuru i kamień,
ciebie? — Ciebie pożegna, rozniesie jak pianę
przelot ptaków niebieskich przemienionych w złe.

5. Hymn do światła

Gotowe są mury miasta. Czekają ciemne katedry,
domy rozpusty i place, na których błędni prorocy
ścieżki prostują twoje.
Tramwaj już węższy w ulicy, kina szaleją prędkiej
i rzemyk rozplata wodzowi bohater wśród krzyków miłosnych.

Z trąb zachłannie szerokich wydmuchują orkiestry
noc głęboką i lamp spokojnych tło.
Gotowe są mury Jerycha. Na miasto ubogie w przestrzeń,
nim się powietrze rozszerzy w wieczność nadmierną — zstąp.

Zstąp na miasto ubogie w ogrody,
nim padnie wapno z kwiatów i nieświadomych budynków,
nim szelest snu nie zasypie wołania człowieka
o dni
powietrza, ognia i głodu.

Oto już słyszę niepokój pomników:
Kopernik wpatrzony w gwiazdę twarz zakrył cieniem kościoła,
z nocy wychodzą kolumny zbrojne. Ich marsz
chwieje drzewami ślepyimi
i śpiew długi idzie za nimi:
Hej, dziewczyno ma, czy znasz ten kraj?

Gotowe są mury miasta. Ulepiłem już trudny mój sen
w pustej nocy czekający na szmer
promienia od gwiazdy słonecznej.
I zanurzony po usta w niej
słyszę w krwi mej szyderczą wieczność.

Zstąp na głowy bluźniące, zanim
grom po trumnach nie przeleci jak wóz,
i niezdarnemu na zimnym posłaniu
wołać daj:

— Oto biskup monstrancją świeci,
szatan z miasta ucieka, a za nim
idzie luna nad ciemny kraj.
Więc jesteś!

6. Tren na śmierć siostry

Jest nade mną migotanie witraży.
Dymią książki dłoniom leniwym,
kolorowe, soczyste pejzaże
wyciekają jak senna oliwa.
Wyżej cień mój godzinę wydzwania.
Ściana płynie prosta jak struna —
będzie pieśń może gorzka i trudna,
ale pełna smutnego kochania:

Gdzieś, woskowa panienko,
gdzieś mi się podziała?
Ach, niedobre, niedobre żelazo
odebrało ruchliwość twym ręką
i języczek jak listek porwało.

Śmierć

I kosteczki o szpiku miękkim
wyłamało bez trudu jak słomkę;
a nie pójdzie z powagą i wdziękiem
konik z tobą ubrany w żalobę.

Nie opadną na deski z hukiem
krople święte, wonne i lekkie
i nie przyjmie posłanie smutne
w ciepłą trawę — nieśmiałej trumienki.

Cacy, cacy, siostrzyczko snów —
w środku miasta na skwerze pustym
zimny, płytki na dłoń ci dół
dadzą — oczom otwartym i ustom.

Ileż słońc się przetoczy nad tobą,
ileż rzek się wyleje naraz,
zanim cisza przystanie jak obłok
nad ulicą świętego Łazarza.

A mówili: przeżyje, kto wierzy,
kto nie wierzy, nie wypije i nie zje.
Śpią zuchwali na szczątkach oręża,
między nimi i fryzjer, i rzeźnik.

Niechaj martwi ufają żywym:
kto nie wierzy — wszak także utonie,
[.]

Nie pocieszyć twych rzes, pod którymi
teraz piasku dusznego nadmiar,
a śpiewałaś: wielbłądy w pustyni
po dwa serca noszą w swych garbach.

Jak powiedzieć ci pełniej i smutniej
o nizinie, gdzie płomień stał —
Po twych deskach uderza jak w lutnię
ziemia nocą ogromna i pyta:
czy znasz ten kraj?

Zna go szatan i szeptał z tajemnic...
głos mu drżał delikatny jak pióro.
O, siostrzyczko mych snów,
po co więcej ci wiedzieć —

Ty wybrałaś dolinę, a mnie każą górą
znów.

7. Zwiastowanie, czyli sen proroczy
Kogut grzebieniem z koralu
nad mą twarzą długą chwilę potrząsał,
potem rzekł: jestem tutaj przysłany,
by cię zbudzić i zabrać w niebiosy.

Potem dziobem gałąź przełamał,
boskość moją skrzydłem rozwiął rozległym

i napelnił kosmiczne bramy
pianiem wielkim i pięknym.

Obok nas,
tam gdzie płaski wypasał krajobraz
stulone uśmiechy wiosek —
schodziły ku drogom modre
krowy, cielęta i owce.

Śliwy, jabłonie i grusze
biły w sadach o ziemię mocno
i melodie przystawały pastusze
między zmierzchem razowym a nocą.

Po krawędzi wysokiej szedł
ceglasty pociąg o kołach wysokich,
ślizgał się most, toczył się szept
i jak łokcie latały tłoki.
Wtedy szeptem prosiłem: zostaw
na to granie, na tę spokojność...

Zstąpił szatan niedosłyszalnie, bo boso,
i do lęku mojego podszedł,
dotknął skroni i wyrzekł: chłopcze,
jeszcze będzie dana ci wolność.

*

Właśnie mnie ciemność wydała nogom, u których po pięć
palców węszących boleśnie. Zacząłem skarżyć się jękiem,
gdy mózg mój napelnił jak miedź
szelest nagły: to matka — w sukni huczącej na klęcznik
spadła jak ćma.

Dłonie rozwiła jak szarfę, a uśmiech blady był,
gdy dźwiękiem trącała powietrze rozkołysane jej zejściem:
Synu mój — uwierz w sny —
wielką prawdę znał fryzjer i rzeźnik:

Ten przeżyje na ziemi, kto wierzy,
i kto dłoniom własnym zaufa,
kto nie wierzy, nie wypije i nie zje,
a zapłaci mu pustka i cisza.

Kochaj płomień, który niweczy
i twą ziemię przepala jak kładkę,
tak się zrodził pochmurny i męski
bohater.

Kochaj pocisk z niedobrego kruszcu,
gdy nad włosom ci leci prosty;
niejednego on przecież nauczył
miłości.

I człowieka, w którego godzisz
mrużąc oko pod blask broni siny,

Broń, Miłość, Ojczyzna

on nauczył boleśnie twą młodość
ojczyzny.

Synu mój, uwierz w sny: po raz wtóry zapieje kogut,
a nad miastem proszącym o światło koral luny ześle wam

Ten,

Który w dłoniach i wodę, i ogień
sprawiedliwie waży na dzień...

ale więcej mówić nie mogę.

8. Pieśń wiosenna

Kora obrasta pnie. Dźwiga się kłos i powój,
ptaki prowadzą swe małe, kret wychodzi na światło,
muzyka chmur nad domem
wisi w gronach soczycie i latwo.
Już ogrodnik zgął się jak most,
koń paruje liczący skiby,
pęka gałąź i leje się sok
nad żywym i nieżywym.

Deszcz wywodzi roślinne kształty
z szeptu ziaren i owadów chrzęstu
i na wietrze faluje las.

Z wody ścieka znużony statek,
jest jak ręka pełna szelestu
położona ślepo na czas.

Idą dymy z kominów. W nich
drży nieśmiałe powietrze niebieskie:
grom zaszczeakał wysoko nad rzeką,
błyskawice obnażyły kły
nad pobitym i nad zwycięskim.

Trawa przewierca kamień, asfalt się marszczy na placach,
korzeń roślinny unosi płytę uliczną i deskę,
krzak kartofla zakwita na ulicy świętego Łazarza —
śpij, wata, śpij, męski.

Zwalone są mury Jerycha. Pogięta broń
jak szkło przeblyska w ruinach. Złomek księżycy w oknie,
po twarzy cień nietoperzy.

Gdzie pójdziesz — ciemność cię dotknie,
daremnie wołasz znów: zstąp!
Lepiej mężnemu: śpij, mężny.

Podziemna fala też pluszcze.
Krzyż się bezradnie poruszył
i ręka wynurza się biała, palce wskazują na sąd,
a pod nocą zwierzęcą i ludzką
świecą czaszki toczone jak lustra —

kość człowiecza opada na dno.

9. Nawrót wątku

Szatan muzyczny piszczał
palcami przy ustach rozdzwonił,

kołysały się żebra jak liście,
chwiały się ząb wylamany i goleń.

Robak drobny wąsami poruszał
i po czaszce wędrował jak globie,
uśmiechały się oczy i usta
mej siostrzyczki w trumience obłej.

Jeszcze raz, tylko raz
hejnał bajkę zanuci —
każda kość będzie grać, każda trawa i korzeń:
...jechał piękny przez sosnowe morze
w nikłej łódce
pod blask.
Więc i inne okręty — wszystkie z listków i jagód.
Cicho ptaki ze smutku płakały,
bo na zawsze, bo nie wrócą, gdy odjadą
pod żaglami z koniczyny i malin.
Nucił piękny, a usta miał modre:
kajet⁵ rzuć, ze mną chodź,
to karocę ci zbuduję i otulę w chorągiew,
i dam welon czarny jak noc...

Dudnił flet i organy w kaplicy
wyciągały ramiona jak anioł;
jeszcze raz zagra kość — szatan w miasto powróci —
szepnął zwiastun i we śnie przystanął.

Z dymu będzie dom twój i sen,
a z płomienia wieczność zupełna
i opowieść inna — lecz wiedz,
że muzyka w niej nagła gra...
Nie anielskie to pienia.
Tak opowieść ta się zaczyna:

Czy znasz ten kraj...

IO

Ryby na rzekach z fioletu wypływają brzuchami do góry,
ostatni kanarek staruszki wydał śmiertelne westchnienie,
zółto było od śpiewu jego,
teraz leży — sztywne ma pióra —
więc się módlmy: wybaw od złego.

Marszczy się skóra globu, lasami zapada i pęka,
płacze serdecznie kamień,
gwiazda się traci na wietrze:
czarne słońce zmałało do kształtu serca człowieka,
więc się módlmy: daj zmiłowanie,
oddal zapowiedź złowieszczą.

Stały w martwym powietrzu głosy psalmistów letnich,
biskup w żałobnej kapie
kropidłem widma gasi;
skrzypią haki szubienic,

⁵kajet (daw., z fr.) — zeszyt. [przypis edytorski]

zaraz salwa w ciało zapadnie —
więc się módlmy: ześlij nam łaskę.

Przymknięte są oczy pożarów,
lasy są drżące jak rzęsy,
krew już straszy na drogach, żadne stopy jej śladów nie otrą —
kwiaty zwęglone — i kości zwierząt łąkowych i leśnych,
więc się módlmy: od lęku nadmiaru
i szatana czulego nas ochroń.

A domy łamią się lekko
i znaki ciągną po niebie;
wciąż na wieżach ludzie w wieczór
żałosnymi językami czytają gwiazdy, a gniew
pali im włosy w nieładzie,
bo powietrze gorące od przeczuc
tuli się małe do pięt.

Rwie się niebieski bulgot,
a przecież w wirze karuzel
szatan już ogień dojrzał, lzy mu z policzków pociekły —
a to są farby żałobne, rozłożone w skrzydłach motyli
w czarnych skrzydłach albo niebieskich.

Pada śmiertelny deszcz z gromnic wysokich,
idzie ciemną niziną śpiewanie,
ślizga się most, toczy się szept i zmęczone pracują tłoki
po lesie, po wodzie, po łanie —
Nachyl twarzą się ku ziemi,
tam usłyszysz, tam odnajdziesz.

Ślepną źrenice ludzi pod cięciem puchowej lotki,
nie gałązka oliwna z nieba ściętego mrozem,
lecz podłużny opada jak
kropla spod paznokcia szatana — nietoperz.

Skłębiona puchnie darni,
więc się módlmy o słoneczny promyk,
bo wciąż noce wtulone w ogromne
skrzydła —
odpływają od rąk człowieka,
a za nimi — czy znasz?

Ten kraj.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gajcy-widma>

Tekst opracowany na podstawie: Jan Szczawiej, *Poezja Polski Walczącej 1939-1945*, tom 2, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Muzeum Powstania Warszawskiego. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Paweł Kozioł, Wioletta Miła, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).